

Ot Kot. Album

Artysta - kamikadze. Totalnie poświęcony sztuce. Dziś już nie ma takich artystów i takich ludzi. Ostatni namaszczony przez Boga **. Tak mówią o Andrzeju ci, którzy go znali. I dodają: dowcipny, szalenie wrażliwy, skromny, zdystansowany, wyjątkowy, niezastąpiony. Zdeteminowany i świadomy tego co robił.

Wszędzie zostawił po sobie ślad: grafiki, exhibrixy, art-żarty. Ale monograficznego albumu doczekał się dopiero po śmierci. 17 lutego, w pierwszą rocznicę śmierci artysty, w Dniu Kota, w Domu Słów przy ul. Żmigród 1 w Lublinie o godz. 18 prezentacja wydawnictwa „Ot Kot”.

- Teraz może stać na półce obok jego artystycznych idoli: Młodożeńca, Stannego, Lenicy, Urbańskiego - mówi Jarosław Koziała, wieloletni przyjaciel Kota, a dziś także jego wydawca. - Jedynie, czego mi będzie brakować, to jegominy. Jak się drapie po głowie, zaczyna dreptać w miejscu, jak mówi, że „tusto”. On jak się cieszył, to tak naprawdę, szczerze, całym ciałem.

Przez lata w koty zostały uposażone setki ludzi. Nie tylko w Lublinie, bo Kot swoje prace rozsyłał po całym świecie.

- Uprawiałem sztukę poczyt - mawiał.

Słał pakunki do znanych typografów, kaligrafów, grafików, ale też bibliotek, muzeów, pism branżowych. To nie były zwykłe paczki. Marion Muller w kilkunastu publikacjach o Kocie w nowojorskim „Upper & Lower Case Magazine” (czerwiec 1982 r.) pisała: „Jeśli masz tyle szczęścia, by dostać przesyłkę od Andrzeja Kota, to bardzo prawdopodobne, że przyjdzie ona w różowej kopercie, ekstrawagancko ręcznie dekorowanej. Taki list, zwłaszcza w poniedziałkowy poranek, pomaga zacząć dzień z uśmiechem na twarzy”.

Poczucia humoru mu nie brakowało. Zdarzało mu się pakować do paczek puste opakowania po papierosach czy herbacie. - Niech się zastanawiają po co im to pakuję - mówił.

W zamian też dostawał prezenty. Z zagranicy przychodziły ilustrowane książki, albumy, wiktuały, czasem dolary. Biegi do wtedy do Pewe-u, kupował wino i leciał do przyjaciół.

Lublin urzędniczy Kota nie doceniał. Od miasta przez całe życie dostał jedną nagrodę. - A... przysłał się - miał skomentować.

Pierwsze podejście do wydania artysty albumu miało miejsce w czasach, gdy Grzegorz Linkowski kręcił swój pierwszy film o Andrzeju Kocie (obecnie reżyser montuje drugi). Premiera „Alfabetu Kota” była w 2000 r.

Spiritus movens ualbumienia Kota był Marek Łoś, wydawca Miejskiej Gazety Powszechnej. Benek (Bernard Nowak - przyp. aut.) się do tego pomysłu zapalił - wspomina Marek Słomianowski, przez lata największy lubelski antykwariusz, dziś pracownik Domu Słów. - Zebrało się kilku zacnych

Nazwisko i imię:
Andrzej Kot „Jajo Kot”

Specjalizacja zawodowa:
Różnota u kota

Studia:
Samokształcenie pod kierunkiem frasuńkiem

Stałe zatrudnienie:
Pracownik-kłusownik

Przykłady najbardziej reprezentatywnych prac: Prace za różne płace, druki ulotne

Uwagi – wolne wnioski – propozycje:
DELICJE*

AGNIESZKA MAZUŚ



chłopaków, paru profesorów, paru redaktorów i poszli do urzędu. Wechodzą, tłumaczą, a pani przy biurku w pewnym momencie pyta „A kto to jest ten Andrzej Kot?” Jak stali, tak wyszli.

To anegdota. W rzeczywistości panowie przebili się przez sekretariat. Funduszy

na wydawnictwo jednak nie dostali. Miasto nie było tym zainteresowane.

Był też pomysł na rzeźbę. Figura idącego artysty, z nieodłącznym workiem na ramieniu, miała stanąć na Grodzkiej, na trasie jego co-

dziennego szlaku. To też się nie udało. Ale przyjaciele się nie poddają.

W zeszłym roku pojawiła się idea „memento-elewacji”. To pomysł Jarosława Koziały. - Nie chodzi o to, by każdemu lubelskiemu artyście dedykować kamieniec na Starym Mieście, ale ktoś taki jak Kot

zdarza się raz na 700 lat - tłumaczy.

Nie chodzi o kamieniec, w której mieszkał artysta (Grodzka 19 jest po remoncie, mieści się tam Hotel Waksman), ale o sąsiednią. - Kamienica jest prywatna, ale jest przychylność właścicieli, można to zrobić razem - tłumaczy Koziała.

Chodzi o elewację w technice sgraffito, polegającą na położeniu warstw tynku w różnych kolorach i zeskrobaniu górnej warstwy tak, by powstał wzór. Takie ściany na Starym Mieście już są, np. na Hotelu Alter czy pubie U Szewca. Projekt elewacji na Grodzkiej 17 już jest. Koziała pokaże go w środę na promocji albumu w Domu Słów. Koszt? Ok. 100 tys. zł.

- Na Grodzkiej był czas uśmiechu losu - mawiał Kot.

Nie chciał się wyprzedać ze Starego Miasta. Prosił o byle dziuple, by mógł tylko tu zostać. Urzędnicy wiedzieli lepiej: dostał mieszkanie na Felinie, w bloku. Dla niego to były Antypody. Nie wiadomo czy w ogóle pojechał zobaczyć nowe lokum. Nie przeprowadził się tam. Wylądował w Pekinie na Głębokiej. Tam miał pracownie, tam spał. Skoro świt wstawał i ruszał w drogę.

Krażył po mieście, gubił tropy. - Jak lis, a nie jak kot - śmieje się Słomianowski.

Pytany o stały szlak Kota Słomianowski wylicza: Stare Miasto, czyli Grodzka, Dominikańska, Rynek. Potem Zielona, bo tu był „Lamus historyczny” pani Popek i sklep zoologiczny pana Sułka. Oczywiście Krakowskie Przedmieście, ale nie dalej niż do pedetu (bo po co?) Potem Kapucyńska do Narutowicza, tam do Teatru Osterwy i do biblioteki. To był dłuższy przystanek. Pracowało tam wielu znanych. Była też herbancja i papierosy.

- Niezwykle czujny. Gdy czuł, że atmosfera gęstnieje, to leciał dalej - wspomina Koziała.

- Jedrus po prostu był. Nie zajmował miejsca - stwierdza Słomianowski.

Prawie 20 ostatnich lat, nie zajmował miejsca” w Info-Arcie naprzeciwko ratusza.

Info-Art to agencja reklamowa na I piętrze „kamienicy z kwiaciarnią” na pl. Łokietka. Ściany niewielkiego pomieszczenia obwieszane są „kocimi” grafikami i plakatami. Tu była jego baza wypadowa. Tu przychodziła cała jego korespondencja.

- Wstawał, biegł do Łopacińskiego, bo tam otwierali wcześniej i o godz. 9 był już u nas - wspomina Magdalena Kielkiewicz. - Był częścią naszej pracowni. Skanowaliśmy, przerabialiśmy, drukowaliśmy. Ale reszta to już czysta przyjaźń.

m na Dzień Kota



Ciągnęło go do ludzi, potrzebował ich. - Kochał Lublin, kochał ludzi. Jak ktoś mówi, że był samotnikiem to nieprawda - przekonuje pani Magda.

- W niedzielę też się spotykaliśmy, tutaj lub u niego w pracowni. Ciężko mu było przetrwać samemu wolny dzień. Z daleka widziałem jak przestępuje z nogi na nogę nie mogąc się doczekać kiedy wreszcie przyjdzie - opowiada Ireneusz Madej.

- Był ode mnie starszy o 11 lat, od Irka o 22, ale nigdy też różnicy wieku nie czuliśmy. Mentalnie był najmłodszy z nas. Umarł jako młody człowiek - mówi pani Magda.

W Info Arcie jest jego gramofon. I kilka płyt, które Kot słuchał na okrągło: Wysocki, Grzesiuk, Okudźawa.

- Żył sztuką, nic się nie liczyło poza rysowaniem. Musiał być kawałek papieru, ołówek, jakiś blat. Nie mogło też zabraknąć herbacjki i papierosów - wspomina Marek Słomianowski.

Palili namiętnie, z dużą satysfakcją. Nigdy z filtrem. Kiedyś Sporty, ostatnio też z targu, domowej roboty. Mówił na nie „kokoski”.

Nigdy nie przeklinał. Nie złościł się, gdy ktoś go źle potraktował. - Mógł być co najwyżej strapiiony. Siedział wtedy zamysłony - wspomina Irena Madej z agencji reklamowej Info Art. - Nigdy nie słyszałem by mówił, że kogoś nie lubi. Jak się do kogoś zraził, to zrywał kontakt. I nic nie było go w stanie zmusić do powrotu.

Do każdego podchodził z szacunkiem. Pijaczków ze Starego Miasta, którzy sępił od niego papierosy, też nie omijał szerokim łukiem. - Nawet jak miał ostatniego to zatrzymał się, zamienił parę słów i dał - opowiada Magda Kielkiewicz.

- Grzegorz Linkowski mówił, że Andrzej był facetem o kilka poziomów wyżej od nas wszystkich. Podpisujemy się pod tym - mówią właściciele Info Artu. - Czujemy się wyróżnieni, że mogliśmy z nim spędzić trochę czasu.

Żył z dnia na dzień, niczego nie gromadził. Oprócz druku: książek, albumów, czasopism. Ale też cieszył go do pewnego czasu. - Ja już się nacieszyłem - mówi i oddawał.

- Wiele rzeczy przechodziło przez jego ręce, ale niewiele się w nich zatrzymało - przyznaje Koziara.

Prawdziwy, szczerzy, autentyczny. Nigdy nikogo i niczego nie udawał. - Miał swój styl, także w ubiorze, ale nie miał potrzeby przezierania się - wspomina pani Magda z Info Artu.

Czarny golf, ciemne sztruski, na ramieniu nieodłączny

plócienny worek. W środku nosił swoje skarby: książki, którymi się ostatnio zafascynował, korespondencję z ostatniego okresu, cały swój warsztat, czyli pastele i piórko. I swoje prace, którymi tak hojnie wszystkim wokół obdarowywał.

- Jak miał to szastał, pożyczal, fundował. Zwykle nie miał, ale nigdy nie żebrał, nigdy niczego się nie domagał. Oddawał prace za bezcen. Za kawę, za papierosy. Za „co laska” i „jaka hojność”.

- Najwyżej przygryzł wargę i poszedł dalej. Nie każdy potrafił docenić jego hojność - wspomina Koziara.

- Szalenie wielokoduszny. Ogromną radość sprawiała mu radość dawania. Sam nie miał dużo, ale zawsze się dzielił, każdego obdarowywał. Niektórzy to wykorzystywali - przyznaje Magda Kielkiewicz.

Uparty. Nikomu nie udało się wymusić na nim konkretnego motywu. Pieniądże się nie liczyły, rezygnował „Polecam konkurencję” - mówi opowiada Madej.

Miał oko do pięknych rzeczy. Do kolorów i graficznych wzorów. Nie potrafił się im oprzeć.

- Przyniósł mi kiedyś z lumpeksu koszulę w czarno-białą kratę. Jak taka sroka wywołał to że sterty badziewia - wspomina Koziara.

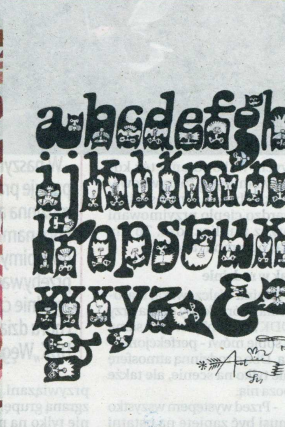
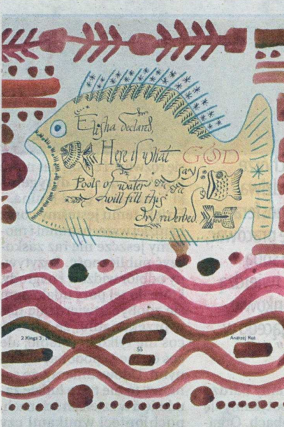
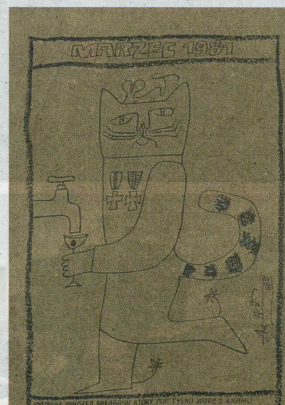
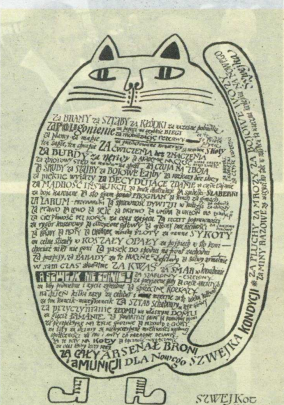
Miał okres, że namiętnie obdarowywał swoją bratową tkaninami. Kupował i wysyłał je do Grodziska. Inne wieszal na oknie w swojej pracowni. Ciągle dowieszał kolejne.

Gramofon, kilka płyt, książki, czasopisma, swoje prace - to był cały jego majątek.

- Nigdy nie mówił że o czymś marzy - wspomina Magdalena Kielkiewicz. - Sztuka dawała mu tyle radości i satysfakcji, że na co dzień wydawał się być bardzo szczęśliwy. Nigdy też nie mówił, że o czymś marzy.

Nie potrzebował ani lodówki, ani telewizora. Gazu się bał. Nigdy nie miał telefonu. Nie chciał. Najnowsza technika przerażała go. A może nie chciał być niewolnikiem niczego?

Jarosław Koziara: - Przyszedł kiedyś do mnie do pracowni na UMCS sygnować swoje grafiki, które wydrukowaliśmy na dużym formacie, jedna studentka zmagala się wtedy ze swoją pracą dyplomową. Robiła alfabet dla słabowidzących. Śmignął jej to od ręki w półtorej godziny. Z typową dla siebie lekkością kreacji. Chwilę później przestał „druczyć”, czyli projektować i mnożyć swoje dzieła na wszystkie sposoby. To mnie zaniepokoilo. On miał świadomość, że jego czas



jest policzony. Odwiedziłem go jeszcze w szpitalu. Czuliśmy tam jak u siebie, lubił się z lekarzami. Przynosiłem mu grafkę z kotami, powiesił nad łóżkiem i złożyłem obietnicę: nie ma takiej możliwości bym nie wydał tego albumu.

ANDRZEJ KOT 1946-2015

Liceum Plastycznym do niekończących się przedmiotami innymi niż plastyczne. Idzie więc na ucznia z cerskiego w Lubelskich Zakładach Graficznych (1964). Po dwóch latach upomina się o niego wojsko. Zostaje pułkowym dekoratorem. - Robi-

łem propagandę wojskową przy Klubie Żołnierza *** - wspominał.

W mundurze spędza dwa lata. Wraca do Lublina i do drukarni, ale nie na długo. - Tam potrzebowano człowieka produkcyjnego, a mnie ciągnęła artystyczna forma drukarska.

Jeszcze próbuje się gdzieś zapieścić: klub garnizonowy, Spółdzielnia Fotograficzna „Zorza”, Lubelski Dom Kultury, który wtedy mieścił się na Zamku, Wojewódzki Dom Kultury.

1974 r. to pierwszy pobyt w szpitalu psychiatrycznym. Diagnoza: schizofrenia. Do staje rentę.

Kot rysuje, zaczyna się bawić kaligrafią. I regularnie kursuje na linii Lublin-Warszawa, gdzie brat, na warszawskiej ASP studiuje grafikę. W stolicy poznaje swoich mistrzów: Jana Młodoczeńca, Janusza Stannego, Henryka Tomaszewskiego, typografa Leona Urbańskiego. Po latach będzie wspominał, że to właśnie Urbański nauczył go „różnego rodzaju przekory”.

Umiera ojciec, umiera matka, kolejne pobyty w Abramowicach. - Ciężko założyć rodzinę, mając status, wie Pan, schizofrenia. Zostałem sam. I tak na tej samotce robielem - mówił w 2008 roku Markowi Nawratowiczowi z Ośrodka Brama Grodzka-Teatr NN. - Bo ja, wie Pan, czasem mam te schizofreniczne odloty. To mnie czasem kładzie, nie uczestniczę, nie udzielam się.

Pierwsze linoryty z Ryszardem Tkaczykiem, plastykami w LDK, odbijają na wyższym poziomie. Pracownicy mają w piwnicy kafejnicę przy Grodzkiej 19. Dziś jest tam galeria sztuki.

Nauka idzie do przodu, leki nowej generacji coraz lepiej działają. W Abramowicach bywa, ale bardzo sporadycznie. Lato spędza zwykle u brata, w Grodzisku Mazowieckim. Robi szlify okolicznym sklepom. Kiedyś nocą wymaluje ganek...

Lata 80. wspominał jako swój „okres olimpijski”. To wtedy ma najwięcej wystaw i najwięcej publikacji swojej twórczości w polskiej i zagranicznej prasie. W 1981 r. ukazuje się kaligrafowana wersja „Traktatu moralnego” Czesława Miłosza, w 1984 dostaje nagrodę główną X Biennale Eklibrisu w Malborku. Jego prace znajdują się w zbiorach muzeów, galerii, bibliotek i w kolekcjach prywatnych na całym świecie.

W tym roku miał obchodzić 50. lecie swojej twórczości. Zmarł na raka 17 lutego 2015 r.

* Ministerstwo Kultury i Sztuki - karta ewidencyjna artysty plastyka, Ankieta personalna do słownika artystów plastyków Okręgu Lubelskiego ZPAP

** Od autorki: Nie znam Andrzeja Kota. Tekst powstał na podstawie rozmów m.in. z Jarosławem Koziarą, Markiem Słomianowskim, Magdaleną Kielkiewicz, Ireneuszem Madejem

*** Archiwum Programu Historia Mówiona Ośrodka Brama Grodzka - Teatr NN